

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 7 Marek.**

Rok XVII. Kraków, 28. sierpnia 1920. Nr. 35.

Bohaterska śmierć polskiego kapłana



Kapelan VIII dywizyi, X. Ignacy Skorupka, prowadząc do ataku młodzież ochotniczą, ginie od kuli bolszewickiej.

Bohaterska śmierć polskiego kapłana.

(Do illustracyi tytułowej).

Urzędowy komunikat, ogłoszony przez sztab generalny naszej armii, w dniu 16 sierpnia b. r. donosi:

„Ze szczególnem uznaniem należy zaznaczyć bohaterską śmierć X. kapelana Ignacego Skorupki z 8 mej dywizyi piechoty, który w stule i z krzyżem w ręku przodował atakującym oddziałom".

Komunikat urzędowy w niewielu słowach powiedział bardzo wiele. Na wezwanie Ojczyzny pospieszył i X. Ignacy Skorupka, aby uczniów swoich, którzy masowo zaciągnęli się do szeregów, nie opuścić i w tej decydującej chwili. Z krzyżem w ręku wiódł ich w bój zwycięski, niestety, znalazł tam śmierć bohaterską. Padł, jak żołnierz na posterunku, ale krew Jego męczeńska zrodziła mścicieli. Uczniowie jego pomścili śmierć swego opiekuna i przewodnika, rzucili się z nieopisaną wściekłością na przeważające siły nieprzyjacielskie, siejąc wokół postrach i zniszczenie.

X. Skorupka stwierdził krwią swoją serdeczną, że pojmował szczytnie swe obowiązki kapłana i Polaka. Nazwisko Jego złotemi głoskami zapisało się na kartach dziejów Polski, walczącej o swą własną wolność i zasłaniającej resztę cywilizowanej Europy przed nawałą hord barbarzyńskich.

Zgon kapłana-bohatera napełnił bólem przedewszystkiem serca tych, których nie chciał opuścić w decydującym momencie, a których spora liczba legła też obok swego przewodnika; opłakuje Go cała Polska, która straciła w nim jednego z najbardziej oddanych Jej synów. W rzędzie bohaterskich obrońców Warszawy zajął ś. p. X. Ignacy Skorupka niepoślednie miejsce.

Pogrzeb bohaterskiego kapłana, który się odbył w Warszawie, stał się też prawdziwą manifestacyą narodową. Wzięły w nim udział tłumy wdzięcznej ludności, przedstawiciele władz wojskowych i urzędów, a wyciskającą wprost łzy z oczu była chwila, gdy jenerał Haller przypiął do trumny Zmarłego przyznany Mu przez Naczelne Dowództwo krzyż *Virtuti Militari*.

Cześć pamięci kapłana-bohatera!... Oby przykład Jego znalazł godnych naśladowców.

W obronie wschodnich granic Polski.

W czasie gdy coraz częściej wspomina się o etnograficznych granicach Polski i gdy one mają być uwzględnione przy przyszłym traktacie pokojowym między Polską a Rosyą, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad tem, jak właściwie daleko te granice sięgają.

Zagraniczna opinia publiczna uważa błędnie Białą Ruś, Czerwoną Ruś i t. d. za integralne części państwa rosyjskiego, zamieszkałe przez ludność wybitnie rosyjskiego pochodzenia.

Że tak nie jest, starali się wykazać różni działacze, a do nich zaliczyć należy obecnie inż. Kazimierza Prószyńskiego, organizatora i początkowo kierownika Komitetu informacyjnego w Londynie. Aby przekonać angielskie sfery polityczne, które przy zawieraniu traktatu pokojowego polsko-rosyjskiego zechcą niezawodnie zabrać głos decydujący, dołożył on wiele starań, aby wykazać, że granice sporne należą się zupełnie prawnie Polsce, a lud je zamieszkujący, ma więcej wspólności rasowej i kulturalnej z Polakami, niż z narodem rosyjskim, będącym jak wiadomo mongolskiego pochodzenia. W tym celu ogłosił zestawienie swoich badań, jakie przez szereg lat poczynił w tym kierunku, w broszurze wydanej w języku angielskim, oraz przygotował celem objaśnienia swych wywodów obszerną mapę, opracowaną wedle materyałów, zebranych w archiwach amerykańskich i angielskich. Wydania tej mapy zaniechał, zastąpił ją zaś szeregiem mapek bardziej bezpośrednio dążących do celu.

Jedną z nich jest mapka odpowiadająca na pytanie jak dalece Rosyanie na ziemiach litewskich i ruskich potrafili zaszczepić swą kulturę. Mapka ta, sporządzona według 4 ch polskich, a 8 miu rosyjskich źródeł, wykazuje na 400 przeszło nazwisk wybitnych działaczy polskich z drugiej połowy XIX wieku, pochodzących z tych okolic, zaledwie 6 nazwisk obcych, z tego tylko 3 rosyjskie. Zaś więc z niej wynika, że do ziem tych mamy bezsprzeczne kulturalne prawo, poparte nadto rasowem pokrewieństwem z miejscową ludnością.

Pracę inż. K. Prószyńskiego zaopatrzył wstępem znakomity publicysta angielski G. H. Chesterton, wytykający społeczeństwu angielskiemu całą niewłaściwość jego postępowania wobec Polski, co jemu samemu może tylko przynieść prawdziwą szkodę.

Wywody swe kończy Chesterton słowami:

„Nie wierzę, aby naród polski, który przeżył niewolę pod trzema potężnemi imperyami, mógł być zatopiony przez jedną czasową anarchię. Wiem to jednak, że, jeżeli będzie zalany choćby czasowo, będzie przełamaniem naszej własnej tamy. Nie mam ochoty być pod zalewem tym choćby czasowo, piszę zatem powyższe, występując w imieniu wspólnej całemu Chrześcijaństwu sprawy i w imieniu wolności Orła Białego".



Wybitny działacz rosyjski o obecnej sytuacyi: Fiedor Izmaiłowicz Rodiczew, jeden z przyw. Kadetów.



W obronie wschodnich granic Polski: Mapa sporządzona przez inż. K. Prószyńskiego, wykazująca nasze prawa do ziem wschodnich.

Wybitny działacz rosyjski o obecnej sytuacyi.

Do rzędu najwybitniejszych współczesnych działaczy rosyjskich należy bezsprzecznie Fiedor Izmaiłowicz Rodiczew, jeden z przywódców stronnictwa kadetów.

Rodiczew był zawsze wielkim przyjacielem Polaków, często też w rosyjskiej Dumie, w której zajmował bardzo wpływowe stanowisko, zabierał głos w sprawie Polski, nie kryjąc się nigdy ze swemi sympatyami dla Polaków. Dał on im wyraz biorąc w roku 1910 udział w obchodzie grunwaldzkim w Krakowie, co bardzo nie podobało się Petersburgowi, zwłaszcza zaś Berlinowi.

Rodiczew jest jednym z tych Rosyan, którzy szczerze pragną odrodzenia swej ojczyzny, a przyszłą jej potęgę radziby widzieć w zgodnem współżyciu narodu polskiego z rosyjskim.

Nie mogąc znieść stosunków, panujących obecnie w Rosyi, nie chcąc się narazić na prześladowanie bolszewików, którzy Rosyanom prawdziwie kochającym swój kraj, zaprzysięgli zgubę, wyjechał wraz z wielu innymi patryotami za granicę, aby tam módz rozwinąć swobodnie swą działalność. Jakiś czas bawił w Polsce i tu wszedł w bezpośredni kontakt z naszemi kierowniczemi sferami politycznemi, stąd zaś powrócił do Paryża.

Korespondent paryski *Gazety Warszawskiej* p. Smogorzewski miał u Rodziczewa wywiad w kwestyi obecnych stosunków, specyalnie zaś odnoszących się do Polski i Rosyi.

P. Smogorzewski w ten sposób podaje rozmowę swą z wybitnym politykiem rosyjskim:

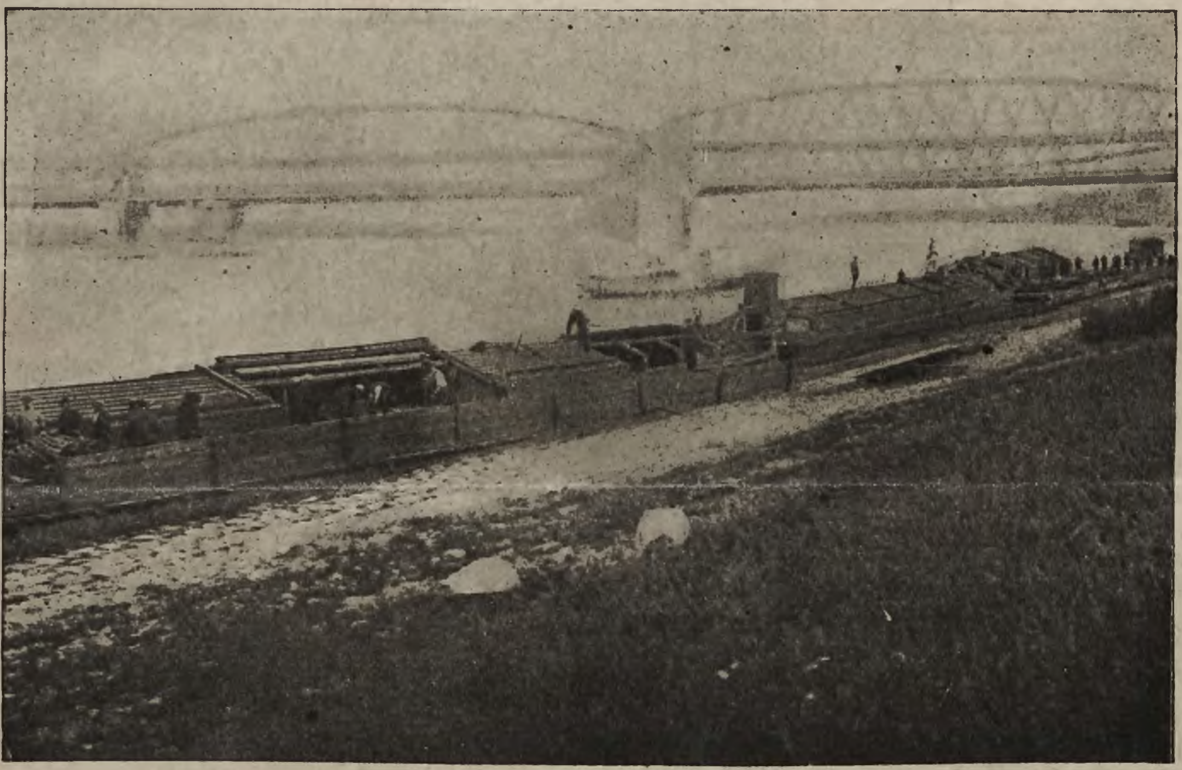
Byłem także przyjęty przez p. Fiedora Izmaiłowicza Rodiczewa, wybitnego polonofilskiego polityka rosyjskiego ze stronnictwa kadetów, który wrócił niedawno z Polski. P. Rodiczew wyraził mi swoją radość z powodu uznania rządu Wrangla, a potem w długiej rozmowie podzielił się ze mną swemi wrażeniami z Polski.

— We wszystkich kołach polskich — mówił p. R. — znalazłem przyjęcie ciepłe i serdeczne co dobrze wróżyć się zdaje o przyszłych stosunkach polsko-rosyjskich. Widziałem wszędzie głęboki i żywiołowy patryotyzm narodu polskiego i życzę mu z całego serca, aby najeźdźców bolszewickich tych wspólnych wrogów naszych dwu narodów zatrzymał i zwyciężył. Nie kryję przecież panu, że sytuacya jest krytyczna. Dawne obawy zaobserwowane w Warszawie przywiozły mi na pamięć to, co widziałem w Piotrogrodzie za czasów Kiereńskiego. Z św. położenie międzynarodowe jest takie, że Polska nie może się spodziewać wielkiej pomocy z zachodu. Jedna tylko Francya robi tu co może, ale może, niestety, niewiele.

Następnie rozmowa potoczyła się na temat przyszłości Rosyi. Na pytanie, co myśli o możności niemieckiej hegemonii w Rosyi, p. Rodiczew mi odpowiedział:



Neutralność naszych sąsiadów: Na brzegu morskim w Tczewie podczas wyładowywania broni i amunicyi, przeznaczonej dla Polski.



Neutralność naszych sąsiadów: Barki, na których przywieziono z Gdańska do Tczewa broń i amunicyę

— Boję się tego. Niemcy mają nad Anglikami i Francuzami tę ogromną wyższość, że są bliżej Rosyi, że znają Rosyę i że mają całe legiony ludzi, którzy mogą ich plany w każdej chwili wykonywać! Anglia będzie mogła zupełnie łatwo ustalić swoje wpływy gospodarcze w Rosyi północnej, która wywozi drzewo, len i surowce przez przemysł angielski poszukiwane. Zaś Francya, jeśli zastosuje tu politykę racyonalną mogłaby mieć pod swymi wpływami całe południe Rosyi, oraz Ural, gdzie Francuzi włożyli wielkie kapitały w przedsiębiorstwa kopalniane i metalurgiczne. Atoli Francuzi są, niestety mało ruchliwi i przedsiębiorczy.

Przeszliśmy do tematu walki z bolszewizmem. P. Rodiczew mówił:

— Walka z bolszewikami musi trwać aż do zwycięstwa, ale tylko walka orężna tu nie wystarczy. Zrozumiał to rząd gen. Wrangla i dlatego jego szanse zwycięstwa są daleko większe, niż jego poprzedników. Aby bolszewików pobić niedość jest iść pospiesznym marszem na Moskwę. Trzeba ich zwalczać przedewszystkiem na tym terenie, na którym są oni silni, t. j. na terenie społecznym. Bolszewicy zdezorganizowali pracę i produkcyę w Rosyi i nie chcą nawet jej z powrotem organizować. Otóż ci, którzy z bolszewizmem walczą, muszą organizować pracę i zaprowadzić normalny tryb życia w zajętych przez siebie terytoryach. Inaczej bolszewizmu nigdy się nie obali.

Neutralność naszych sąsiadów.

W walce swej z Rosyą bolszewicką napotyka Polska na trudności wprost nie do przezwyciężenia. Zwłaszcza dowóz amunicyi z Zachodu połączony jest z przeszkodami, jakie stawiają sąsiednie państwa, które pod wpływem rosyjskiego rządu ogłosiły swą neutralność i rzekomo ściśle jej przestrzegają ale tylko o tyle, o ile rozchodzi się o Polskę i o amunicyę celem prowadzenia wojny z bolszewikami.

Tak postępnią wobec nas Czesi, gdy transporty odbywają się drogą lądową, niemniej robotnicy w Gdańsku, o ile idą drogą wodną.

Parowiec holenderski *Triton*, z którego przed niedawnym czasem wyładowali amunicyę dla Polski żołnierze angielscy, to pierwszy, który wyłącznie i jawnie przywozi amunicyę dla Polski. Dotychczas była amunicya przysyłana jako ładunek dodatkowy do portu.

Gdy nadszedł okręt *Triton* i robotnicy dowiedzieli się o rodzaju ładunku, zaraz oświadczyli, iż nic podejmą się wyładowania i innym robotnikom, chcącym ich zastąpić przeszkodzą.

Polska firma spedycyjna, która wyładowaniem jest zainteresowana, skomunikowała się z gdańskiemi związkami zawodowemi, aby sprawę tę załatwić. Urzędnicy związków zawodowych Werner i Cierocki z niemieckiego i chrześcijańskiego związku robotników transportowych udali się do Nowego portu, gdzie omawiali tę sprawę z robotni-



Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski: Pracownicy plebiscytowi spisko-orawscy.



Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski: Kościół w Łapszach Niżnych z bramą powitalną, na której wypisano: „Niech żyje Polska!"

kami portowymi. Robotnicy pozostawali przy swej odpowiedzi odmownej mimo, iż polska firma spedycyjna przyrzekła każdemu robotnikowi, oprócz podwyższonej płacy dziennej, po dwa funty mąki pięknej, jako też przyobiecała związkom dać większą ilość mąki dla podzielenia pomiędzy swoich członków związków zawodowych.

G y polskiej firmie spedycyjnej udało się pozyskać 30 robotników do wyładowywania amunicyi, zagrożono ze strony przeciwnej, iż parowiec z amunicyą zostanie zatopiony.

Robotnicy transportowi oświadczyli wyraźnie, iż nie mieliby nic przeciwko temu, gdyby wojsko angielskie podjęło się wyładowania amunicyi, lecz większa część robotników nie dopuściłaby go do parowca. Wobec takiego stanu rzeczy byli zastępcy związków zawodowych bezsilni i nie mogli pośrednictwo.

***Triton* usiłował już w dwóch innych portach wyładować amunicyę, lecz zawsze bez skutku gdyż przeszkodzili temu tamtejsi robotnicy.**

Z *Tritona* przeładowano amunicyę na barki i przewieziono do Tczewa, skąd dopiero koleją dostała się na linię bojową. Załadowaniem w Tczewie zajęli się gorliwie tamtejsi robotnicy polscy i straż obywatelska z Grudziądza, Torunia i t. d., w odpowiedzi zaś na opór robotników portowych gdańskich, postanowili robotnicy w Poznaniu wstrzymać się od pracy, o ile to dotyczy transportów żywności przesyłanych stamtąd dla Gdańska.

Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski.

Spiż przez kilka wieków należał do Polski. Złej pamięci Austrya zapoczątkowała jednak rozbiory Rzeczypospolitej Polskiej, obsadzając przedewszystkiem miasta spiskie. Gdy Polska powstała z powrotem do bytu państwowego, Rada ambasadorów w Paryżu, naprawiając częściowo wyrządzoną Polsce krzywdę, przyznała nam 12 względnie 13 wsi spiskich. Wyrok ten nie jest bynajmniej sprawiedliwy, bo przy Czechach pozostały nadal wszystkie dawne miasta spiskie, stara Lubowla siedziba Lubomirskich, Podoliniec ze słynnym polskim konwentem Pijarów, przecudna dolina Popradu, Drużbaki ze swymi złomami marmuru i kąpielami, do których podążali za dawnych czasów magnaci polscy. Jakkolwiek więc ze smutkiem spoglądamy na te obszary, pozostające jeszcze pod jarzmem czeskiem, to z drugiej strony musimy się cieszyć, że część polskiej ziemi powróciła do prawowitego właściciela a zarazem żywimy silną nadzieję, że w niedługim czasie i reszta polskiego Spiża powróci do nas.

W dniu 15 sierpnia b. r. odbyła się w Łapszach Niżnych na Spiżu uroczystość przyłączenia owych 12 wsi spiskich do Polski. Przybyło w dzień ten do Łapsz mnóstwo ludności ze wszystkich wsi, które nam przyznano, a także z innych miejscowości, które pozostały jeszcze pod Czechami, zjawiło się całe duchowieństwo i wójtowie. Przyjechał starosta spisko-orawski Dr Jan Bednarski, przedstawiciel Rządu polskiego Dr Goetel, przedstawiciele wojskowości, starosta nowotarski Hanik, posłowie podhalańscy X. Madej i Rajski, wiele inteligencyi z Podhala i pracowników plebiscytowych. Uroczyste nabożeństwo, podczas którego odśpiewano *Te Deum*, celebrował Spiżak X. Gryglak, a po nabożeństwie oznajmiono zgromadzonym tłumom, że odtąd przyznane Polsce wsi spiskie należą niepodzielnie do Rzeczypospolitej Polskiej. Następnie odbyła się zabawa, podczas której nastąpiło wzajemne bliższe zapoznanie się dawnych i nowych obywateli Polski.

Jakkolwiek znacznie piękniejsze i bogatsze obszary pozostały przy Czechach, to jednak przyznana nam część Spiża jest również wcale piękna. Znajduje się tam Niedzica ze swym starym malowniczo nad Dunajcem położonym zamkiem: z jednej strony wznoszą się ruiny Czorsztyna a z drugiej — mury zamku niedzickiego, tworząc razem powabną bramę do Pienin. Łapsze są położone w dolinie zasłoniętej od wiatru wiatrów zimnych i posiadają nadzwyczaj łagodny klimat; ponieważ w miejscowości tej biją źródła siarczane, Łapsze mogą w niedługim czasie stać się znaną miejscowością klimatyczną. Oprócz tego jest tam wiele innych malowniczo u stóp Tatr położonych miejscowości, jak Jurgów, Trybsz, Czarna Góra i t. d. Gdy tylko nastaną stosunki normalne a przyznane nam obszary Spiża i Orawy zostaną połączone z Polską siecią komunikacyjną, wówczas powstanie pod Tatrami na Podhalu wraz ze Spiżem i Orawą jedno wielkie letnisko dla całej Polski.



Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski: Ludność wiejska przed kościołem.



Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski: Goście przed plebanią w Łapszach Niżnych. W pośrodku zasłużony działacz narodowy X. Urway miejscowy proboszcz. (Fot. A. Kador)



Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski: Przedstawiciele wojskowości, władz cywilnych organizacyj i ludności polskiej, uczestniczącej w uroczystości.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

I.

— Panna Rachela zapragnęła jej bardzo.

— Bóg wie, kto jej mówił o niej.

Tymczasem przybyli do uliczki Pianto, jednej z licznych bardzo ulic Ghetta. Ciągnęła się pomiędzy dwoma rzędami małych domów, wąska, brudna, błotnista. Zapach tam straszny rozchodził się, wydzielający się z murów, ociekających wilgocią. Z całej zresztą tej dzielnicy wydzielała się atmosfera brudu, nędzy, zepsucie, a może nawet zbrodni.

Mojżesz Kabib zatrzymał się przed niską, małą bramą. Pociągnął za żelazny pręt i wewnątrz zajęczał słaby odgłos dzwonka.

Maleńkie okno na piąterku otworzyło się na ten dźwięk i wyjrzała z niego głowa kobieca.

— Kto tam?

— To ja, Różo, otwórz.

W parę minut później rozległ się szmer ciężkich kroków, zgrzyt odsuwanej zasuwy. W drzwiach stanęła Róża, służąca Mojżesza.

— Dobry wieczór panie — rzekła, obejmując go przenikliwem spojrzeniem, podczas kiedy wdrapywał się po wąskich schodach.

— Dobry wieczór, dobry wieczór — zamruczał znudzonym głosem.

— Zły wiatr powiał — pomyślała służąca.

Schody były nędzne, brudne, połamane. Maleńka lampka oświetlała je niedostatecznie. Mojżesz Kabib potknął się i o mało nie stoczył się na dół.

— Trzeba uważać, panie — rzekła Róża.

— Uważam, uważam nawet więcej niż się komu wydaje — rzucił, wchodząc do mieszkania.

Córka jego Rachela oczekiwała na niego w progu. Ujrzawszy go, skłoniła się nisko i ucałowała jego rękę. Gest ten wywoływał zawsze pewne wzruszenie u starego Mojżesza.

Dotykając ustami czoła córki, wymówił:

— Niech Bóg cię błogosławi, Rachelo.

Poszła za nim do ciemnego, niskiego pokoju, służącego za salon, jadalnię i gabinet do pracy. Pokój ten był bardzo ubogo umeblowany, panowała w nim jednak wyjątkowa czystość i porządek.

Posiłek wieczorny przygotowany był na grubym obrusie nieposzlakowanej białości, talerze były gliniane, noże i widelce blaszane.

Dwa tylko były nakrycia. Rachela, stosując się do życzenia nie oczekiwała go nigdy z wieczerzą. Wracał bowiem o różnych porach, niekiedy nawet późno w nocy.

Mojżesz z wyrachowania stołował u siebie Jakóba Veronę. Pochłaniali teraz obydwaj nędzne pożywienie, z łapczywością wygłodniałych wilków, a stary Mojżesz chciwym wzrokiem śledził grubość kawałków chleba, spożywanych przez swojego pomocnika.

Scena była dosyć ciekawa. Starzec ten, zmęczony, osłabły, owinięty zawsze w rudziały swój płaszcz czarny, w zmiętym kapeluszu, nasuniętym na czoło, z czerwonemi, zgrabiałemi rękami od zimna, jadł głośno i szybko, zgrzytając starymi zębami, popijając co chwilę wodę zabarwioną zaledwie winem czerwonem; młody chłopak zaś, blady, bezkrwisty, nędznie wyglądający w cienkim, znoszonym surducie połykał cicho, z przerażającą chciwością, nie podnosząc oczu od talerza. Róża przechodziła w milczeniu z kuchni do pokoju, przynosząc prawie puste talerze.

Przy końcu stołu, Rachela siedziała ze złożonemi rękami zamyślona, poważna.

Cała tradycyjna piękność kobiet wschodnich, jaśniała w córce Mojżesza Kabiba. Wysmukła była i wysoka, a kształtne jej ciało posiadało urok i czar niezwykły. I w każdym ruchu jej przebijał się ten urok harmonijny, podniesiony jeszcze czystemi, artystycznemi rysami jej twarzy. Cerę miała bladą i smagłą, ale w tej smagłości przebijały odcienia kości słoniowej, ciepłe i żywe zdradzające krew młodą i bujną. Włosy jej i oczy były mocno czarne. Długie, podkręcone cokolwiek rzęsy również ciemne, pod któremi kryło się spojrzenie o tajemniczym poważnym wyrazie, pełne nieodgadniętych zagadek, wzbudzające niepokój i ciekawość. Usta miała drobne, czerwone i wilgotne, trochę dumne, nie stworzone do uśmiechów i słów.

Rachela miała na sobie suknię z czarnej, wełnianej tkaniny, prostą bardzo, lecz skrojoną na sposób tuniki starożytnej, ściśniętą w pasie pasem ze starego srebra. Był to przedmiot, znaleziony raz przez starego Mojżesza, pośród nagromadzonych w jego sklepiku rupieci.

Na szyi zarzucony miała szal koronkowy, pożółkły przez lata o łagodnym, pastelowym



— Nienawidzisz ludzi swojej rasy? — Tak — rzekła ostro.

odcieniem. Nie nosiła żadnych klejnotów, nawet pierścionka na pięknych, białych rękach, splecionych na stole w ruchu wielkiego zmęczenia.

Mojżesz Kabib spoglądał od czasu do czasu na córkę, jakgdyby miał jej coś do powiedzenia, ale zdawało się, że coś pomimo woli powstrzymuje jego słowa.

Po jakimś czasie jednak nie mógł się opanować i zapytał Róży.

— Wychodziłyście dziś rano?

— Tak.

— Dokąd?

— Tam, gdzie moja pani pójść chciała — odpowiedziała wymijająco służąca.

Mojżesz Kabib spojrzał pytająco na córkę.

Młoda dziewczyna uniosła powieki i odpowiedziała dźwięcznym, lecz jakgdyby złamanym głosem.

— Głowa mnie bolała. Chciałam odetchnąć świeżem powietrzem.

— Gdzie byłaś?

— Na Corsie.

— I kogo tam spotkałaś?

— Nikogo — rzuciła sucho Rachela.

Opuściła powieki i zacisnęła usta, nie chcąc widocznie odpowiadać dalej.

Ojciec znał ten sposób zachowania się jej i wiedział, że w podobnych chwilach córka jego stawała się niewzruszona jak głaz. Nie zapytał więc o nic więcej.

Róża sprzątała ze stołu. Jakób Verona powstał, zabierając się do odejścia.

— Przyjdź jutro wcześniej Jakóbie — nakazał mu Mojżesz Kabib.

Pomocnik pochylił się i pocałował jego rękę, jak to czynił każdego wieczora. Róża potarła zapałkę, żeby mu poświecić na schodach, a nie chciała chlebodawców swoich pozbawić lampy.

Rachela siedziała nieruchomo z założonemi rękoma. Stary Mojżesz palił fajkę w milczeniu. Po chwili Róża powróciła i usiadła przy stole, naprawiając skarpetkę.

— Dlaczego wychodziłyście dziś rano? — powtórzył Mojżesz, zwracając się znowu do służącej. Wiecie, że nie lubię tego.

Służąca nie odpowiedziała, lecz ruchem ręki wskazała Rachelę. Młoda dziewczyna nie poruszyła się.

— Rachelo! — zawołał starzec.

— Ojcze? — odpowiedziała, drgnąwszy lekko.

— Czy słyszałaś?

— Nie, ojcze.

— Jestem niezadowolony z tego, że wychodziłaś.

— Duszę się tutaj — odpowiedziała głuchym głosem.

— Jest to dzielnica ludzi twojej rasy.

— Nienawidzę jej.

— Nienawidzisz ludzi swojej rasy?

— Tak — rzekła ostro.

— Mnie także.

— Ciebie kocham i szanuję ojcze.

— Ale jesteś mi nieposłuszną.

— Nie chcę umrzeć... ojcze... oto wszystko.

Ten dom należy do najlepszych z Ghetto. Na niczem ci nie zbywa. Czego chcesz jeszcze? — rzekł starzec z goryczą.

— Odejść stąd! — rzekła szybko.

— Odejść! Dokąd?

— Wszystko jedno. Jaknajdalej. Zamieram tutaj ojcze.

— Odejść... sama.

— Z tobą ojcze — wyszeptała cicho.

— Lub sama; odeszłabyś także sama - westchnął Mojżesz Kabib.

Rachela umilkła.

— Co to za książka, którą kazałaś kupić Jakóbowi — zapytał znowu po chwili starzec.

— To romans — odparła z prostotą.

— Książki psują umysł.

— To jest uczciwa książka, ojcze.

— Co o tem wiedzieć możesz?

— Mówiono mi.

— Kto?

Nie było odpowiedzi.

Kiedy ojciec męczył ją za wiele, Rachela uciekała się do milczenia.

— Przepędzisz noc na czytaniu tej książki? — badał dalej Mojżesz z uporem starców.

— Czytałam już wiele dzisiaj. Nie będę wiele czytać w nocy.

— Noc jest stworzona do spania.

Zapanowało znowu milczenie.

Mojżesz Kabib wytrząsnął na stół popiół z fajki. Poczem spojrzał na Różę, pracującą w skupieniu.

— Idź spać Róża — rzekł.

— Nie jest późno. Mogę pozostać jeszcze.

— Po co? Stracisz najlepsze godziny snu.

Róża spojrzała na Rachelę, ale że ta dalej milczała więc, podjęła znowu swoją robotę.

— Idź spać — powtórzył starzec niecierpliwie.

— Panna Rachela może potrzebować czego.

— Rachelo?

— Ojcze?

— Czy potrzebujesz czego od Róży?

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

9 I.

A tam, gdzieś w oddali, załkał jęk stłumiony, że jakieś dusze w konaniu rozpaczliwie wołały o pomoc, żaląc się na zapomnienie ludzi, że krzywda przekleństwem ostatnią zemstę głosiła – to cóż? Wściekły huragan, harcujący po bezkresnych polach, nie pyta, że w samowolnym pędzie swoim śmierć przyniesie drżącej, wątłej roślinie, przeczuwającej jego nadejście! Dla rozpętanych żywiołów niema zapory! Brutalna siła nie liczy się z niczem!

– – – – – – – – – – – –

Tymczasem u Gawlików ferment pieczołowicie podsycany otaczającą atmosferą, zaczynał już grozić wybuchem.

Kazia, jak gdyby tylko czekała na stosowną porę, aby z nędznej gąsienicy przemienić się w barwnego, trzepoczącego się motyla. – Z gorączkowem podnieceniem, z wypiekami na twarzy, kręciła się niespokojnie po domu, czuwając nad zainstalowaniem się rodziny w nowem mieszkaniu. Co chwila wyłudzała jakieś pieniądze od matki, by biec do miasta po zakupy, mające przystroić pokoje, które z duszy radaby przemienić w salony, jaśniejące blaskiem i przepychem.

– To tylko jeden krok, jeden marny krok na tej nowej drodze, z której już nigdy zejść nie zamierzam – mówiła do matki. – I to co tu teraz jest, zmienić się wkrótce musi. Niedługo, podziwiana, budząc zazdrość wokoło siebie, królować będę w tym świecie, o którym niestety z czytania tylko wiem dotąd! Tak, mamo, tak! Córka własną willę nad morzem mieć będzie i panoszyć s ę w własnym automobilu!

Gawlikowa z dumą patrzała w jej rozpromienione oczy.

– Taka pewna jesteś tego swojego Francuza? - zapytała z uśmiechem zadowolenia.

– A co mama myśli! Chłopak aż się mieni kiedy patrzy na mnie.

– Kiedyż go tu przyprowadzisz? Teraz już można. Pokoje jak cacko!

Kazia z grymasem wydęła usta.

– Przyprowadzić go tu już muszę, niema rady. Ale mama może myśli, że my tu tem zaimponujemy! On piękniejsze rzeczy widział! Taki panicz!

– Słuchajno – zaniepokoiła się trochę Gawlikowa. – Ale on przecież wie, że ty nie masz posagu – co?

– Mama także wymyśliła! Po cóż miałam tykać tego przedmiotu. Czyż zresztą teraz nie będę mogła ofiarować mojemu przyszłemu mężowi posagu równego jego bogactwu. Ojciec nareszcie zrozumiał jak żyć potrzeba i jest na drodze do zrobienia majątku. Mówił mi dziś rano, wychodząc, że ma dwa doskonałe interesa w rękach. Jeden ze sianem, a drugi z drzewem. Tylko co do tego siana, to musi się zabezpieczyć, żeby mu wojsko po drodze nie zarekwirowało. Jak się mu uda, to może grubo zarobić.

– No, to chwała Bogu! Z tych pieniędzy od wujka i z tych paru tysięcy, które kiedyś wziął przy sprzedaży automobilu, nie wiele zostało.

– Co też mama mówi? – zdziwiła się Kazia.

– A tyś co myślała! Teraz taka drożyzna, że pieniądze tylko topnieją w rękach. Za nowy twój kostyum i buciki dałam przeszło trzy tysiące koron. A do domu ciągle coś nowego potrzeba. Kiedyż ty się zobaczysz ze swoim Francuzem?

– Umówiliśmy się na dzisiaj do Noworolskiego z Janką i jej halerczykiem. Daj Boże, żebyśmy się tam spotkali z Wiktą Szulcówną. Ona tam prawie codzień jest w południe z tym starym hrabią. Niech widzi, że i ja mam narzeczonego!

– No to ubieraj się prędko, bo to już jedenasta. Kiedy na obiad wrócisz?

– Nie wiem. Niech mama nie czeka. Może wszyscy razem pójdziemy gdzie na obiad do restauracyi.

– Bój się Boga, Kaziu! jakże to? tak sama z nimi?

– Oh! moja mamo! – wzruszyła niedbale ramionami Kazia, zabierając się do czesania. – Niechże już mama da pokój z temi uwagami. Gdyby teraz panny chciały zwracać uwagę na wszystko, toby żadna za mąż nie wyszła. Teraz dzięki Bogu inne czasy. Kobieta nie jest już niewolnicą i nie potrzebuje się krępować głupiemi przesądami – dodała z emfazą, przypomniawszy sobie zdanie, wyczytane w jakiejś książce.

– Dobrze, już dobrze, pospieszyła z zapewnieniem Gawlikowa. – Wiem przecież, że nie jesteś głupia i zawsze potrafisz sobie poradzić. Ale gdybyś tak ojca gdzie spotkała, to co będzie? On ciągle teraz po knajpach siedzi.

– Co ma być! Przedstawię mu mojego narzeczonego i koniec. Już czas, żebyście go poznali. Chcę go właśnie na jutro sprowadzić do domu.

– Jutro już!? – ztropiła się Gawlikowa. A ja nie mam nic przygotowanego. Trzeba przecież przyjąć go porządnie i wystąpić, żeby zaraz poznał, z kim ma do czynienia.

– Oh! jeszcze mama na czas wszystko przygotuje. Powiem wieczorem, jak się umówimy.

W godzinę później Kazia szykowna, pewna siebie, w nowym kostyumie i eleganckich, jasnych, wysokich bucikach, wchodziła w towarzystwie Janki Terleckiej do cukierni Noworolskiego w Sukiennicach.

Obydwaj oficerowie oczekiwali już na nie. W tej porze południowej pokoje były pełne różnych gości.

Obok wykwintniejszej publiczności, lubiącej tu schodzić się na pogawędkę i przejrzenie porannych dzienników, widzieć było można, zwracające ogólną uwagę panie o wcale nie dwuznacznych uśmiechach i zachowaniu się, zabawiające się wesoło z bardzo młodymi, dopiero co wyklutymi oficerkami, niezręcznie pobrzękującymi szablą, z którą się jeszcze należycie obchodzić nie nauczyli. Kilka żon i przyjaciółek znanych już na bruku miasta paskarzy, panoszyło się na aksamitnych kanapkach, rażąco odcinając od towarzystwa niegustownym doborem kolorów bogatych strojów, niezręcznymi ruchami tłustych lub kościstych rąk, uwięzionych siłą w zaciasnych rękawiczkach i dźwiękiem pospolitych, krzykliwych głosów.

Zaraz na wstępie Kazia doznała elektrycznego wstrząsu, od którego twarz jej aż pobladła silnie.

– Patrz, patrz, – szeptała do Janki Terleckiej, wpijając jej konwulsyjnie palce w ramię. – Tam, naprzeciw, Wikta ze swoim szympansem.

Rzeczywiście, o kilka kroków od stolika, który zajęły, Wikta Szulcówna, gruba i niezgrabna, siedziała, rozpierając się łokciami o blat marmurowy, głośnymi wybuchami śmiechu przyjmując ciche, jak gdyby wstydliwe wyznania podstarzałego, łysego jegomościa, w czarnem, matowem ubraniu nieskazitelnego kroju.

Córka zbogaconego rzeźnika aż nadto zdradzała całą swoją osobą nizkie pochodzenie i brak najelementarniejszego wychowania.

Nogi jej szeroko rozstawione pod stolikiem, płaskie były, grube w kostkach, czemu zaradzić nie mogły eleganckie buciki, noszące na sobie widoczną markę dobrego szewca.

Rude, lekko kręcone włosy otaczały twarz okrągłą, nacentkowaną silnymi piegami, na której rozsiadł się nos, od którego czciciel pięknych linii greckich, odwróciłby się z okrzykiem zupełnie usprawiedliwionej zgrozy, tak bowiem krótki był i wydęty w nozdrzach mocno zaczerwienionych.

Małe, bystre oczy, w oprawie jasnych rzęs, biegały niespokojnie i zuchwale po obecnych, z wyzywającem spojrzeniem parweniuszki pewnej swojej przewagi nowonabytej.

Szulcówna po chwili zauważyła również dawną koleżankę i nagle przestała mówić wpatrzona w nią ze zdumieniem.

Długie chwile krzyżowały się ich spojrzenia.

W końcu Szulcówna jak zahypnotyzowana, pomału skierowała wzrok na mężczyzn, towarzyszących Kazi. Egzamin ten musiał wypaść dosyć pomyślnie dla niej, bo znowu spojrzenie jej zawistne, niespokojnie spoczęło na Kazi, siedzącej spokojnie z tryumfującym uśmiechem na ustach.

Po chwili Szulcówna jakgdyby pod naporem jakiejś nagłej myśli, lekko schyliła głowę w ukłonie.

Na to tylko czekała Kazia.

Z uprzejmym uśmiechem na ustach, podniosła się szybko, szepnęła parę słów Jance Terleckiej i podeszła parę kroków ku stolikowi, przy którym siedziała jej dawna koleżanka.



Obydwaj oficerowie oczekiwali już na nie.

Szulcówna uczyniła to samo. Na środku pokoju spotkały się, wyciągając do siebie ręce.

Tak dawno cię nie widziałam. Kaziu! – wyrzekła Szulcówna. Z kimże jesteś? – zapytała, nie mogąc ukryć zaciekawienia.

– Z moim narzeczonym – odparła Kazia swobodnie, ciesząc się wrażeniem, jakie jekie jej słowa uczynią.

– Z narzeczonym? – podchwyciła Szulcówna. — Któryż to? Ten halerczyk?

– Nie! Ten drugi Francuz. Powiadam ci, kolosalnie bogaty chłopak. Posiada własną fabrykę.

Usta Szulcówny zacięły się nerwowo. Małe oczy zabłysły tajoną wściekłością.

– Tak! – rzuciła niedbale, siląc się na spokój. – No, to winszuję ci z całego serca. Tylko radzę ci uważać! Bo z tymi Francuzami to niewiadomo doprawdy co myśleć. Dziś są tu, jutro tam, a każden chce uchodzić za milionera. Radzę ci uważać! – powtórzyła z naciskiem – łatwo bardzo możesz zostać na koszu.

Krew zakipiała w Kazi. Nozdrza jej się rozdęły jakgdyby nagle tchu jej zabrakło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

15

„Poluję w Harroich'eu — pisał Nigel — lecz muszę myśleć o prędkim powrocie do Egiptu. Nie pisałem wcześniej, chociaż pragnąłem podziękować ci za odwiedzenie Mrs. Chepstow. Nie możesz sobie wyobrazić, jak jej było przyjemnie. Jest zachwycona twoją świetną rozmową i humorem, a jeszcze więcej twą serdecznością i życzliwością. Od dawna tego nie doznała. Na Jowisza, Iseacson, gdyby ludzie zrozumieli, co znaczy odrobina prawdziwej dobroci dla tych, którzy są w niepowodzeniu, okazywaliby ją częściej, chociażby ze względu na gorącą ich wdzięczność. Lecz oni tego nie rozumieją. Czasami myślę, że największą prawdą, powiedzianą od stworzenia świata, jest: „Oni nie wiedzą co czynią". Dodaj „i co opuszczają", a będziesz miał wytłómaczenie większej części nędzy na ziemi. Do widzenia, mój stary, przyjdę na Cleveland Square, jak tylko przyjadę do Londynu. Dziękuję ci raz jeszcze za tę wizytę.

Twój na zawsze
Nigel Armine".

Entuzyazm Nigla, zdawał się promieniować z listu, który Iseacson trzymał w ręku. „Twoja serdeczność i życzliwość". A zatem to uderzyło Mrs. Chepstow, serdeczność i życzliwość jego, Iseacsona! Oczywiście korespondowała z Niglem, Iseacson przypomniał sobie nutę tryumfu w jej głosie. Miewała listy od Nigla w czasie jego nieobecności w Londynie. Doktór widział ją na balkonie, patrzącą na rzekę, czy nie wyglądała tak jak człowiek, mający nadzieję wybawienia?

Na wspomnienie o tych listach, o wyrazie twarzy i całem jej zachowaniu Iseacson zaczynał pojmować ich znaczenie.

Lecz Nigel nic mu nie powiedział. Cały ten czas był zdala od Mrs. Chepstow taka nieobecność wydawała się dziwną, niepodobną do niego, obcą jego entuzyastycznemu usposobieniu, jeżeli przypuszczenie Iseacsona było prawdziwem. Lecz czy było prawdziwem? czy źródło życzliwości bijące w Niglu nie było może zwodniczem?

— Uczucie jest wiedzą kobiety — powiedział Iseacson — teraz w myśli dodał: „czasami i mężczyzny". Zanadto się oddawał myślom o Niglu, postanowił je oddalić.

Wkrótce będzie wiedział, zastanawiać się nad tem obecnie byłoby bezużytecznem. I zresztą miał bardzo dużo roboty.

Nigel powrócił dopiero przy końcu października.

Liście opadły z drzew, nastały jesienne wichry, a z nimi deszcz, który zmywa ostatnie ślady lata. Wszędzie, nad wsią i miastem, rozciągnęła się ponura atmosfera końca, która w Anglii nigdy nie omieszka zachmurzyć niknącego roku.

Depresya charakterystyczna, w tej porze nasyłała lekarzom pacyentów.

Dzień po dniu Iseacson siedział w swym konsultacyjnym gabinecie, zapisując raczej moralne niż fizyczne lekarstwa, żyjąc więcej z duchowemi niedomaganiami, niż fizycznemi objawami. W tym roku pa yenci reagowali na niego o wiele więcej niż zazwyczaj. Czuł, jakby ich choroby, przechodziły na niego jakby ich obawy zarażały jego ducha, jak bakcyle ciało.

Mówił sobie, że wakacye nie dały mu dostatecznego wypoczynku, lecz nie pomyślał o zmniejszeniu pracy. Powodzenie pchało go wyżej, ze wzrostem sławy i majątku, rosła chęć do nich.

Nareszcie Nigel zadzwonił do jego drzwi. Iseacson nie mógł go przyjąć, lecz dał mu *rendez-vous* na wieczór. Mieli się spotkać o ósmej na koncercie w Vincens-Hall'u.

Iseacson trochę się spóźnił. Wszedł pospiesznie, w krótkiej przerwie po pierwszej części Symfonii Patetycznej Czajkowskiego, znalazł Nigla już siedzącego w fotelu, przywitał się i usiadł obok niego.

Dyrygent podniósł pałeczkę i druga część się zaczęła.

W muzyce dało się słyszeć nieustanne dźwięczenie jednej i tej samej nuty, jakby uderzenie serca. To trwało i trwało z piękną lecz straszną monotonią. Iseacson nieraz słyszał tę symfonię; wywoływała w nim zawsze wrażenie piękna, połączonego ze zgrozą w swej monotonii. Tego wieczoru, czy dlatego, że był zmęczony, czy dla innej jakiejś przyczyny, tajemniczy smutek tej muzyki, który się unosi, przez cały ciąg jej tryumfu, przemawiał do niego więcej, niż zwykle, w jakiś dziwny, przenikliwy sposób. Monotonna pulsacya, była jakby pulsacyą życia — tego życia w które on i człowiek obok niego siedzący są ujęci, od którego zostaną kiedyś z ich wolą, lub bez niej uwolnieni. Puls życia! Z ogólnego stanowiska myśl Iseacsona przeszła do osobistego, Pomyślał o pulsie kobiety, silnym, regularnym, stanowczym. Zdawało mu się, że czuje go pod palcami, to puls Mrs. Chepstow. Zdawał sobie sprawę, że pomyślał o niej, bo Nigel o niej myśli, że łączy ją z tą muzyką, bo Nigel czyni to samo. Czuł się tem zirytowany, starał się zapomnieć o Mrs. Chepstow, lecz jego usiłowania były bezowocne. Palce jego miały ciągłe wrażenie jej pulsu, i za każdem jego uderzeniem czuł wyraźniej okrucieństwo i tajemnicę życia.

Kiedy się Allegro skończyło, nie rzekł ani słowa, nie spojrzał na Nigla. Nawet kiedy ostatnie nuty symfonii zdawały się niknąć i zapadać w otchłań nędzy i ciemności, nie poruszył się wcale. Czuł się przygnębionym jak ktoś pobity i skaleczony.

— Iseacson!

— Co?

Zwrócił się trochę do Armine'a.

— Wielka muzyka! — Ale szkodliwa.

— Dlaczego?

— Szkodliwa w swej nauce.

Artysta w Iseacsonie się wzdrygnął.

— Nie dbam o naukę, nie potrzebuję nauki!

— Lecz kompozytor wmusza ją — naukę rozpaczy. Daj pokój wszystkiemu, nie trzeba żadnych wysiłków; fatum stoi nad tobą, musisz w końcu upaść. Ta muzyka jest piękna, wspaniałą, lecz zarazem jest wielkiem kłamstwem!

— Czy wyjdziemy? Mamy dziesięć minut pauzy.

Wyszli na korytarz i zaczęli się zwolna tam i napowrót przechadzać.

— Taka muzyka mnie przygniata — ciągnął Nigel z energią — odejmuje wszelką ochotę.

Iseacson nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Nie mogę się zapatrywać na sztukę z punktu moralności. Czyż sztuka nie wpływa na moralne lub niemoralne myśli? czy nie pobudza popędów złych i dobrych?

Iseacson spojrzał na przyjaciela.

— Nie przeczę, lecz popędy są jak cienie, zarysy, które rozpływają się w ciemnościach. Jakkolwiek muzyka posiada skończoną formę, wywołuje jednak nieraz zamęt w słuchaczach.

— A zatem, ta muzyka wywołuje chaos rozpaczy.

— Tak.

— Pragnę to zwalczyć.

— Co?

— Zło i nędzę w świecie. Nienawidzę rozpaczy.

Iseacson spojrzał znowu na Nigla i zauważył, jaka biła z niego siła i radość.

— Szkocya dobrze na ciebie wpłynęła, wyglądasz dzisiaj świetnie.

W myśli dał specyalne znaczenie temu banalnemi frazesowi; tego wieczora promieniała z Armine'a jakaś jasność, wywołana wewnętrzną pobudką.

— Patrzę w dal, w zimę.

Iseacsonowi przyszła na myśl nuta tryumfu, brzmiąca w głosie Mrs. Chepstow, kiedy mówia: „Nie czuję takich rzeczy tego lata". Nigel był echem tych słów.

Dzwonek się odezwał, weszli napowrót do sali.

Pozostali do końca koncertu. Wracając do domu, szli powoli przez Regend-Street, ulica była pełna wilgoci i hałasu.

— Kiedy jedziesz do Egiptu? — zapytał Iseacson.

— Prawdopodobnie za jakie dziesięć dni. Chciałbyś tam pojechać?

— Teraz nie mogę.

— Lecz chciałbyś?

— I tak i nie — odrzekł po chwili doktór. — Jeżeli kto jest coś wartym pracownikiem, tego praca trzyma, chwyta jego duszę. Lecz jest część mojej istoty, która pragnie uciec, jakże często pragnie uciec!

Przypomniał sobie pewien ranny spacer, i pragnienie swego właściwego miejsca.

— Moja cała istota pragnie uciec — odrzekł Nigel.

Spojrzał wokoło. Ludzie szukali rozrywki w ciemności, widział ich stojących na rogach ulic i wypatrujących formę tej ucieczki. Przejeżdżające we wszystkich kierunkach fiakry z siedzącemi w nich parami niknęły w ciemnośc ach.

— Pragnę iść do światła.

— Oto jest przed nami.

Iseacson wskazał na rzęsiście oświetlony cyrk na Piccadily.

— Pragnę iść w światło prawdziwe, w światło słońca i chciałbym, żeby każdy do niego zdążał.

— Wnosisz swój moralny entuzyazm we wszystkie szczegóły życia! — zawołał Iseacson. — Czy chciałbyś zabrać cały świat do Egiptu?

Nigel wziął go pod rękę.

— Wydaje mi się tak samolubnie jechać samemu.

— Czy jedziesz sam?

Pytanie to wyrwało się Iseacsonowi, przez cały wieczór o tem myślał, a teraz musiał je wysłowić.

Silne palce Nigla ścisnęły mocniej jego ramię.

— Nie chciałbym jechać sam.

— Co do mnie, wolałbym jechać sam, niż w niezupełnie odpowiedniem towarzystwie mieć przy sobie kogoś, coby myślał i czuł jak i ja, i w ten sposób, co ja, to dobrze, ale każde inne towarzystwo jest destrukcyjne.

Iseacson mówił trochę gorączkowo, bez zwykłego mu panowania nad sobą.

— Czy nie jesteś innego zdania? — dodał, widząc, że Nigel nie odpowiada.

— Można się nauczyć myśleć jednakowo.

— Myślisz, że jak dwie natury obcują razem, silniejsza bierze górę nad słabszą. — Nie chciałbym być opanowanym przez kogoś, ani nad nim przewodzić, lubię wzajemną niezależność, połączoną z prawdziwą sympatyą.

Mówiąc to, przyszło mu na myśl, że jest bardzo wymagającym, i zaśmiał się ironicznie. — Lecz gdzie to znaleźć? — zawołał. — Mają słuszność ci, którzy poprzestają na mniejszem — lecz ty, wymagasz poniekąd więcej odemnie.

— Lubię dawać ludziom to, czego się nie spodziewają — rzekł Nigiel. — Jaki ten cyrk jest wstrętny.

— Może weźmiemy fiakra, żeby pojechać na Cleveland-Square.

— Dobrze, zajdę do ciebie na chwilę.

Kiedy byli w domu, Nigel rzekł:

— Chcę ci podziękować za odwiedzenie Mrs. Chepstow. — Powiedział to nagle jak człowiek, który od dłuższego czasu zamyśla coś powiedzieć, aż wreszcie, nie bez trudności naraz się decyduje.

— Po co u licha mi dziękujesz?

— Gdyż prosiłem cię, byś do niej poszedł.

— Czy Mrs. Chepstow jest ciągle w Londynie?

— Tak, widziałem się z nią dzisiaj. Mówi o spędzeniu zimy w Egipcie.

— W Kairze, przypuszczam.

— Zdaje mi się, że ma dość miasta.

— W takim razie, bezwątpienia, uda się w górę Nilu.

Stanęła między nimi jakaś zapora, obaj to czuli.

— Jeżeli pojedzie — a to jeszcze niepewne — będę ją odwiedzał — rzekł Nigel.

Meyer Iseacson nic na to nie odpowiedział, i po chwili trochę kłopotliwego mi czenia, Nigel zmienił przedmiot rozmowy i wkrótce wyszedł.

Po jego odejściu Iseacson wrócił do saloniku, i zapalił nargile. Pogasił wszystkie elektryczne lampy z wyjątkiem jednej, i siedząc sam, w słabo oświetlonym pokoju, trzymając długi, podobny do węża cybuch, w swych delikatnych, artystycznych rękach, wyglądał jak żyd ze Wschodu; gdyby miał fez na głowie, opadłaby z niego Europa. Nawet wyraz jego twarzy, w swej poważnej a żywej inteligencyi, pełen cierpliwości i siły, stał się zupełnie wschodnim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Po inne lata był kronikarz o tym czasie w niemałym kłopocie, nie wiedząc nieraz, o czem pisać, boć to lipiec i sierpień, to okres wakacyjny i sezon ogórkowy. Życie polityczne zamierało, wielcy mężowie stanu wyjeżdżali nad morze lub do Maryenbadu, mniejsi bodaj do Zakopanego, dziennikarz skazany był na polowanie na węże morskie i kaczki. Gdyby nie to, że w domu potrzeba papieru do owijania i innych gospodarskich celów, z pewnością ludzie nie kupowaliby byli przez te dwa miesiące dzienników, wiedząc o tem, że nie przyniosą im nic nowego.

Obecnie jest zupełnie inaczej, choć kłopot został kłopotem. Materyału do pisania jest tyle, że się poprostu nie wie, od czego zacząć i na czem skończyć. Cesarz Wilhelm, prąc przed sześciu laty do wojny, narobił zamięszania, obecnie, gdy usnnął się w zacisze domowego ogniska, rolę jego objął Lloyd George i doprowadził już do tego, że sytuacya jest poprostu bez wyjścia. Nagotowali nam bigosu, sami widzą, że jest niestrawny i nie mogą znaleźć takich, którzy mieliby go zjeść ochotę. Wilson mieszał też w tym kotle, ale wczas się spostrzegł, że korzystniej się cofnąć, a warzechę oddać komu innemu. Gorączkowo chwycił za nią Lloyd George, miesza i miesza, ale jakoś nic wymieszać nie może.

Dzięki jego polityce, mającej na oku tylko interesy angielskie, doszliśmy do tego, że właściwie nie wiemy, na czem stoimy, a niewiele brakuje, aby się cała Koalicya rozleciała w kawałki, a Liga Narodów, choć właściwie jeszcze nie zaczęła naprawdę urzędować, ogłosiła likwidacyę.

Kazali nam stanowić zasieki z kolczastego drutu, które miały bronić Europę przed bolszewizami (aby Anglia mogła robić tymczasem dobre interesy...) a potem, gdy zawiał jakiś inny wiatr, posądzono nas o zakusy imperyalistyczne i zaczepność i zostawiono własnemu losowi. Z materyalnej pomocy nici, z moralnej także niewiele pożytku, bo jak się obecnie pokazuje, Cziczerin to daleko lepszy dyplomata niż Lloyd George. Zresztą nie trzeba być ani Cziczerinem, ani dyplomatą, aby z Koalicyi robić sobie niewiele, wiedząc o tem, że w jej własnem łonie niema zgody, a każdy z członków chciałby zrobić tylko dobry interes i to nawet kosztem swych własnych sprzymierzeńców.

W to mrowisko, jakiem jest obecna sytuacya, wpakował Millerand patyk, uznając rząd generała Wrangla za jedynie upoważniony do reprezentowania Rosyi wobec świata, gdy natomiast kolega jego angielski kokietuje stale bolszewików i pertraktuje z Krasinem i Kamieniewem, choć zdaje się tego nie spostrzegać, że oni sobie kpią z niego i wodzą go za nos.

Jeżeli więc istnieje jeszcze Koalicya a między jej członkami panuje jednomyślność, bez której obejść się nie może, trudno przypuścić, aby w Rosyi mogły być uznane przez nią dwa rządy. Jeżeli zaś są, w takim razie niema Koalicyi.

I ta druga ewentualność zdaje się być prawdopodobniejszą, choćby tylko ze względu na wzmianki coraz częściej pojawiające się w prasie, że pomiędzy mocarstwami przyjdzie wkrótce do nowego ugrupowania. Z jednej strony znajdzie się Ameryka, Francya i Hiszpania, z drugiej Anglia. I pokaże się wtedy, że różnice między jedną a drugą stroną są tak wielkie, iż do wyrównania ich trzeba zacząć wojnę na nowo.

Ponieważ zaś właściwym jej sprawcą będzie obecnie Lloyd George z powodu swojej bezwzględnej polityki, aby temu zapobiedz, proponuje kronikarz zwołanie konferencyi międzynarodowej, która miałaby do rozstrzygnięcia dwa jedynie punkty porządku dziennego:

1) Jak unieszkodliwić Lloyda George'a?

2) W jaki sposób mają na przyszłość ludy świata załatwiać wynikłe między nimi różnice, skoro, jak się obecnie pokazuje, wojna do tego nie prowadzi.

Co do pierwszego punktu, na to radę znaleźć bardzo łatwo. Poprostu skazuje się Lloyda George'a na deportacyę na dyabelską wyspę, a celem zaostrzenia kary wysyła się tam i exkesarza Wilhelma. Obaj mają mieszkać w jednym domu, mieć jedno ubranie i jednę parę butów, sypiać w jednem łóżku, mieć jeden nóż, widelec i łyżkę. Ponieważ zaś wiadomo, jak się wzajemnie lubią, nie ulega kwestyi, że wzajemne towarzystwo będzie dla nich prawdziwą karą, a świat odetchnie swobodnie, pozbywszy się zmory, która go przedtem tak gniotła i teraz gniecie. Anglia nic na tem nie straci, owszem może nawet tylko zyskać, polityka Lloyda George'a prędzej czy później musiałaby ją doprowadzić do bankructwa. Następcę po nim znajdzie łatwo.

Drugi punkt konferencyi także nie powinien sprawiać zbyt wielkich trudności. Liga Narodów ma, jak wspomnieliśmy, uledz likwidacyi, choćby zresztą nawet i wegetowała dalej, a międzynarodowe spory załatwiała w ten sposób jak tego dała już próbki, nie może liczyć na uznanie swych wyroków i sympatyę, bo świat cały wie, że działa w imię interesów jednostek, a nie sprawiedliwości. Zresztą, skoro Wilson ogłosił zasadę samostanowienia narodów o sobie, niechaj ona wejdzie w życie w całej pełni, bo na to w zupełności zasługuje. Ale narody nie mogą stanowić o swoim losie z orężem w dłoni!... Rękom dajmy spokój, teraz kolej na nogi.

Sport rozwija się na całym świecie coraz wspanialej, piłka nożna święci prawdziwe tryumfy. Dziś świat, choć jest o czem innem mówić, ma przecież Antwerpię na ustach, a każdy chciałby się tam znaleźć, jeśli nie jako zapaśnik, to bodaj jako widz. Zainteresowanie sportem jest więc ogólne.

Należałoby więc wyzyskać sytuacyę i przy pomocy piłki nożnej rozstrzygać najważniejsze kwestye międzynarodowej polityki. Ot, dajmy na to, jak łatwo i bez rozlewu krwi możnaby rozstrzygnąć, który z rządów rosyjskich jest właściwy, trocko-leninowski czy wranglowski. Ogłasza się poprostu publiczne zapasy między nimi, a ten, kto zwycięży, zostaje u steru i to bez rekursu, gdyż niema się do kogo odwoływać. Zyskałby na tem handel i przemysł, gdyż takie polityczne zapasy mogłyby się odbywać raz w tem, drugi raz w innem mieście, dokąd zjeżdżałyby się tłumy ciekawych z całego świata. I Liga Narodów obraduje też w coraz to innem miejscu. Z opłaty za wstęp byłby piękny dochód, który możnaby łatwo obrócić na pokrycie szkód, jakie nam wyrządziła wojna.

I wilk byłby zatem syty i owca cała. I spór załatwionoby rychło i byłby z tego jakiś pożytek, a angielską dumę narodową łaskotałoby bodaj to, że spory międzynarodowe rozstrzyga się przy pomocy angielskiego wynalazku.

Zanim to przecież nastąpi, ważniejsze, jaki wpływ na nasze losy będzie mieć nieporozumienie między Anglią i Francyą. Wprawdzie jedno z naszych pism codziennych wysadziło „na własnym drucie" przed niespełna dziesięciu dniami, pięć tysięcy Anglików w Gdańsku i zapowiadało, że dalsze transporty są w drodze, a Gdańsk ma się stać *bazą* ofenzywy koalicyjnej przeciw bolszewikom, było to przecież wtedy, gdy czterysta tysięcy Francuzów jechało już do Polski, Węgry dawały sto czterdzieści tysięcy (nie wiedziały tylko, którędy je przewieźć), Rumunia spieszyła na pomoc z siedemdziesięciu tysiącami. Zdawało się, że bolszewików zarzucimy czapkami!... Nadto dawano do poznania, że i Japończyk z nami i wygląda z poza Uralu, kiedy będzie najlepsza sposobność dobrać się bolszewikom do skóry. Od południa czyhał na nich Wrangel, który lada dzień miał się z nami połączyć.

Przykry wiatr rzeczywistości rozwiał jednak rychło zbyt różowe nadzieje. Lloyd George odmówił telegraficznie pomocy, nawet moralnej, twierdząc, że Polska sama sobie winna, że tak się z nią dzieje (miał racyę!... mogła nie słuchać Koalicyi i nie wierzyć w jej obietnice!...), Francya obiecała wprawdzie dopomódz, ale tylko materyałem wojennym i przez przysłanie instruktorów. Mówiono wprawdzie, że francuskie wojsko odejdzie z terenów plebiscytowych na front polsko-rosyjski, to jednak na przebieg akcyi wojennej nie miałoby zbyt wielkiego wpływu, jeśli się zważy, że naprzykład w Spiżu mieli Francuzi załogę, składającą się aż... z jednego porucznika i sześciu żołnierzy.

Przyszliśmy zatem do przekonania, choć trochę późno, że możemy liczyć tylko sami na siebie i zabraliśmy się, przyznać trzeba, ostro i z temperamentem do spełnienia swego obowiązku, skutki zaś są już widoczne, zwłaszcza w okolicach Warszawy, gdzie bolszewikom porządnie przetrzepano skórę. Zmykali, ile sił w nogach, zostawiając nawet po drodze nowokreowanych komisarzy sowieckich, którzy im nie mogli nadążyć.

Dotąd panowała zatem jednomyślność między Ameryką i Francyą w sprawie polskiej. Obecnie nasuwa się pytanie, jak będzie w dalszym ciągu, gdy Anglia kokietuje sowiety a Francya występuje przeciw nim otwarcie. Należałoby się spodziewać, że wobec tego możemy liczyć na najdalej idącą pomoc czynną Francyi.

Niestety, i z tej strony spotkał nas zawód. Dowiedzieliśmy się bowiem, że Francya myśli seryo o pomocy dla nas, ale... nad Renem. Każe nam samym załatwić się z czerwonym najeźdźcą, obiecując jedynie trzymać na uwięzi brytana niemieckiego, gdyby chciał skorzystać ze sposobności i obłowić się naszym kosztem. Czy on jednak robi sobie co z tego?... Zdaje się, że nie, bo zbyt pewnym jest poparcia Anglii, a ta znów liczy, jak na Zawiszę, na swych przyjaciół bolszewickich i niemieckich.

Wytworzyło się zatem błędne koło, z którego inni nie omieszkają skorzystać, a my, jak zresztą zwykle, wyjdziemy z kwitkiem, jeśli nie z sińcami!... Nasza dyplomacya nie popisała się wcale. Pobiła ją nawet czeska, która, korzystając ze sposobności zabrała sobie lwią część Śląska i jeszcze narzeka, że ją pokrzywdzono, gdyż cały Śląsk należał się Czechom. Dr Benesz obiecuje nam przyjaźń, ale pod warunkiem, jeśli mu oddamy Cieszyn i ten ochłap Śląska, jaki nam się dostał w udziale. Pokazuje się, że można być muzykiem o światowej sławie, ale równocześnie musi się być zręcznym politykiem i dyplomatą. Artysta kieruje się zresztą ideałami, polityk rzeczywistością.

Zachodzi obawa, że obecnie w ślad Czechów pójdą i Niemcy, związani ściśle z bolszewikami i postarają się o to, aby odebrać, co, jak twierdzą, słusznie się im należy. Anglii się z pewnością nie spieszy, a i Francya musi się oglądać na Londyn, o ile tymczasem nie wejdzie w związek z innemi mocarstwami, sama bowiem rady sobie nie da.

Powiada się wprawdzie głośno bardzo, że Polska może być spokojną o swoją niepodległość, która jest zagwarantowaną traktatem wersalskim. Bo i któż to mówi?... Właśnie ci, którzy choć sami ten traktat uchwalali, sami go ciągle gwałcą i obchodzą na wszystkie strony. Widzieliśmy to na sprawie śląskiej. Przewidziany był plebiscyt, tymczasem rzecz załatwiona tak, jak Czechom było wygodniej. Teraz znajdzie się jakieś „okienko" dla Niemców, a nikt nie będzie mógł tego nazwać pogwałceniem warunków traktatu, gdyż to jedynie jego sprostowanie.

Jednem słowem, i tak źle i tak nie dobrze! Koalicya ze sobą w zgodzie, my płacimy za to porozumienie, kłóci się, odbije się to na naszej skórze w myśl zasady znanego przysłowia: „Gdzie dwu bije, tam trzeci bierze także w skórę"...

A tym trzecim jesteśmy stale my i znosimy to z poddaniem się losowi.

Ma więc Cziczerin zupełną racyę, że sobie nic nie robi ze wszystkich pogróżek Koalicyi, o ile odnoszą się do sprawy polskiej. Wie dobrze, że Koalicya ma tylko swój interes na oku, a Polskę bez żadnego wahania zostawi na lodzie, jeżeli tak będzie dla niej lepiej i wygodniej. Z pewnością liczy się więcej z nami samymi, niż z naszymi opiekunami i przyjaciółmi, którzy pozwolą psom zjeść zająca, jeżeli tego będzie potrzeba.

Bieda nauczyła nas już chyba dość, zatem czas najwyższy, byśmy pomyśleli sami o sobie. A tu tymczasem, choć nóż na gardle, ciągle jeszcze brak zgody i kłótnie, które stronnictwo powołane jest do tego, aby kraj wybawić z grożącego mu niebezpieczeństwa.

I o tem wie Cziczerin bardzo dobrze i dlatego zwleka, wychodząc z założenia, że jeśli sami się osłabimy, tem łatwiejsza z nami sprawa. A my tego zrozumieć nie chcemy! Zapatrujemy się ciągle na sytuacyę bardzo różowo i wierzymy w to, że jesteśmy potrzebni Europie, więc ona nam zginąć nie pozwoli w bolszewickim potopie. Ale i ona sama jest w strachu, bo i ją czeka to samo, myśli więc nie o nas „lecz o swoim własnym ratunku", liczyć się z nami będzie zaś dopiero wtedy gdy pokażemy, że mamy siłę i nie liczymy na jej pomoc, ale jej skutecznie pomódz zdołamy.

Ktoś tam powiedział, że zwykła uczciwość nie pozwoli Koalicyi na opuszczenie Polski w tej krytycznej chwili ale widocznie zapomniał, że polityka i uczciwość, to dwa pojęcia, które nie mają z sobą nic wspólnego raczej się wzajemnie wykluczają.

Wojna światowa miała zadać kłam zdaniu, że „siła przed prawem" dała tymczasem dowody, że tak jest, a nie inaczej i że świat się pod tym względem zupełnie nie zmienił. O swoje prawa może się skutecznie upomnieć tylko ten, kto na ich poparcie ma silną pięść, potulnego barana będą wszyscy strzygli tak powołani, jak nie powołani, bo głupi byłby ten, kto nie chciałby skorzystać ze sposobności.

Takim baranem byliśmy dotąd i czas najwyższy, aby on się już raz przemienił we wilka i zaczął pokazywać zęby. Naprzód otwartym wrogom, a gdy do tego przyjdzie, także i tym, którzy udawali jego przyjaciół i nie żałowali mu... obietnic.

Taka zaś metamorfoza barana we wilka w naszych stosunkach dość łatwa, trzeba tylko trochę dobrej woli i wyrzeczenia się na krótki czas swoich ambicyi i ambicyjek. Pół środkami niedojdziemy do celu, owszem pogorszymy tylko i tak już dość krytyczną sytuacyę, w jakiej się znaleźliśmy dzięki nieudolności tych, którzy chcieli uchodzić za kierowników opinii publicznej.

Jak nią kierowali, widzimy dziś dobrze i, póki czas, powinniśmy się starać, by złe naprawić, gdyż jutro może być już zapóźno!

Obecny sezon ogórkowy nie jest zatem dla nas ogórkowym, w przeciwieństwie, ma on dla polskiego społeczeństwa pierwszorzędne znaczenie, bo tu rozchodzi się o nasze **być, albo nie być!...**

Objęcie rządów przez jenerała Wrangla.

Podając w poprzednim numerze naszego pisma podobiznę jenerała Wrangla, uważanego dziś ogólnie za zbawcę Rosyi, scharakteryzowaliśmy pokrótce i jego politykę, która, jak się zdaje, opartą jest na silnych i racyonalnych podatawach. Zamiarem jenerała Wrangla jest utworzenie silnej demokratycznej Rosyi, opartej o żywioł włościański, czynnik w tym kraju najpotężniejszy, lubo mało oświecony i uświadomiony. Czy jednak poza tem nie kryją się jakie inne plany, naprzykład o zabarwieniu monarchicznem, tego powiedzieć dziś nie można. Rosyjski chłop był zawsze monarchistą i z pewnością i dziś zgodziłby się na powrót dawnych stosunków, byle tylko mieć spokój. Bolszewickie idee nie znalazły przystępu do jego serca ni umysłu.

Jenerał Wrangel potrafił sobie zyskać uznanie chłopa rosyjskiego, uderzając w najczulszą dlań strunę. Obdarzył go ziemią, której on tak pragnie, zaprowadził porządek i rygor, umożliwił mu pracę, a to dlań zupełnie wystarcza. Tego rodzaju system, oparty nie tylko na postępowaniu naprzód, ale jednocześnie i na organizowaniu ziem zajętych,



Lenin w roli... artysty kinematograficznego: Lenin pozuje do zdjęcia przed pomnikiem Dantona w Moskwie.

nie może być stosowany w zbyt szybkiem tempie, i z tego to powodu postępy armii Wrangla nie są tak widoczne, jak może ktoś mógłby się spodziewać. W każdym razie postępuje on naprzód, choć powoli, ale pewnie, wiedząc o tem, że na tyłach nic mu nie zagraża.

Rosyanie, szczerze kraj swój kochający, widzą w nim zbawcę, czemu dał wyraz Rodiczew i inni wybitni politycy ze wszystkich obozów, prócz bolszewickiego, widzącego w nim swego najniebezpieczniejszego wroga. Sam Wrangel do żadnej partyi nie należy, jest dziś tylko Rosyaninem, pragnącym szczerze swój kraj uwolnić od bolszewickiego piekła.

Zdanie Rosyan-patryotów podzieliła i Francya, uznając, wbrew polityce angielskiej, rząd Wrangla za jedynie prawowity.

Armia Wrangla liczy około ośmdziesiąt tysięcy doskonale wyćwiczonego i wyszkolonego żołnierza, stanowi też bardzo poważną jednostkę bojową. Po uporządkowaniu stosunków na Krymie, posuwa się ona w głąb Rosyi południowej, witana wszędzie z entuzyazmem i popierana przez miejscową ludność, widzącą w niej zbawców. Z kozakami dońskimi zawarł Wrangel przymierze, co jeszcze bardziej umocniło jego stanowisko.

W stosunku do Polaków okazuje przyjaźń, jak to wynika z doniesień naszych dzienników, które nie tak jeszcze dawno pomawiały go o wybitnie antypolskie tendencye.

Jego akcya oswobodzicielska jest zatem na najlepszej drodze i powinna przynieść jak najpiękniejsze rezultaty.

W niniejszym numerze zamieszczamy illustracyę, przedstawiającą epizod z objęcia rządów przez jenerała Wrangla w Sebastopolu na Krymie w kwietniu b. r.

Lenin w roli... artysty kinematograficznego.

Rząd bolszewicki używa najróżnorodniejszych środków, celem propagowania swych zasad przewrotowych w jak najszerszych kołach rosyjskiego społeczeństwa. Główną rolę grają naturalnie ruble, nie mniejszą terror, nadto używa się też i innych środków, bardziej kulturalnych, jak dzieła pióra i ołówka, mające przedstawić świetnie dobrodziejstwa, jakie nań spłyną po przejęciu się ideami bolszewickiemi. Miliony wydaje się na propagandę za pomocą różnego rodzaju wydawnictw i pism ulotnych, idących masami i za granicę, bolszewicy artyści-malarze mają bardzo popłatne zajęcie w odtwarzaniu różnych scen z „bolszewickiego raju“. Rosyjskie wsie i miasta są poprostu oblepione rozmaitego rodzaju plakatami i ogłoszeniami, przedstawiającemi czerwonych carów obecnej Rosyi mniej lub więcej udatnie w różnych rolach. Osobne pociągi kolejowe-księgarnie rozwożą bolszewicką literaturę po całym kraju i na front, aby budzić ducha.

I kinematograf poszedł też w służbę propagandy. Cała masa filmów przedstawia różne sceny z życia Lenina i Trockiego, naturalnie tylko z najlepszej strony, aby w ten sposób działać na ciemny umysł rosyjskiego mużyka, któremu ostatecznie wszystko jedno, kto trzyma nad nim nahaj, car czy Lenin lub Trocki. Z tym nahajem tak się już zrósł, że bez niego nie wyobraża sobie życia.



Uroczystość przyłączenia Spiża do Polski. Pobudka kapeli wojskowej 2 go pułku strzelców podhalańskich, biorącej udział w uroczystości w Łapszach niżnych.

Przedstawienia kinematograficzne dla celów propagandy odbywają się w całej Rosyi bezpłatnie. Spędza się na nie ludność, aby widziała, jak wyglądają jej obecni władzcy, którzy naturalnie do zdjęcia „robią przyjemną minę“. Patrząc na ich słodko uśmiechnięte twarze, nikt nie przypuściłby nawet, że to katy, ociekające krwią setek tysięcy niewinnych ofiar.

Illustracya nasza przedstawia Lenina podczas zdjęcia dla kinematografu pod pomnikiem Dantona w Moskwie. Dawniej był to pomnik zwycięzcy z pod Szypki, jenerała Skobelewa, zniszczyli go jednak bolszewicy, ustawiając na cokole monstrualną głowę Dantona, tak krwawo zapisanego w dziejach francuskiej rewolucyi.

Lenin obrał sobie do zdjęcia zupełnie odpowiednie miejsce!



Objęcie rządów przez jenerała Wrangla: Jenerał Wrangel (X) w towarzystwie uczestników objęcia rządów Rosyi południowej w Sebastopolu 7 kwietnia b. r.

Polsko-francuskie braterstwo broni.

Serdeczne stosunki, jakie panowały zawsze między Polską a Francyą, zacieśniły się jeszcze bardziej w ciągu obecnej wojny. Na jej początku walczyliśmy wprawdzie przeciw Francuzom, ale nie występowaliśmy tu jako naród polski, lecz jako część składowa państwa austryackiego i niemieckiego. Równocześnie przecież po stronie francuskiej zbierały się zastępy polskie, jak gdyby przeczuły, że z tej strony zaświta dla nas jutrzenka prawdziwej wolności.

I w obecnej tak krytycznej dla nas sytuacyi była Francya jedynem państwem, które nie kryło się ze sympatyami dla narodu polskiego i pospieszyło nam z wydatną pomocą w materyale wojennym i licznym zastępie instruktorów. W szeregach polskich w czasie ostatnich walk pod Warszawą wzięło wybitny udział wielu oficerów francuskich, a korespondent wojenny jednego z pism opisuje moment, jak oficer francuski w rękawiczkach *glacé* i szpicrutą w ręce prowadził do ataku polski oddział. Przy formowaniu oddziałów ochotniczych, zwłaszcza zaś artyleryjskich, oddali instruktorzy francuscy armii polskiej bardzo wybitne usługi.

Taki kurs, prowadzony przez oficerów polskich i francuskich, o czem już wspominaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Nowości Illustrowanych", odbył się w Łobzowie pod Krakowem. W rzędzie oficerów i żołnierzy francuskich, biorących w nim udział, byli i tacy, którzy już brali czynny udział w naszych walkach na wschodnich kresach.

Dnia 22 sierpnia b. r. odbyła się tamże uroczystość wręczenia dekoracyi wojennych członkom armii francuskiej. W ciągu trwania kursu dali oni dowody niestrudzonej gorliwości około ukształtowania artyleryi polskiej, nadto osobistemi zaletami stworzyli razem z oficerami i ochotnikami artyleryi polowej serdeczne bardzo i sympatyczne wzajemne stosunki, które przeobraziły się w węzły nierozerwalne, tem silniejsze, że w czasie wspólnych niebezpieczeństw zawiązane.

Uroczystość odbyła się w bardzo podniosły sposób. Po przemówieniu jenerała Truszkowskiego i odpowiedzi majora francuskiego Durteste'a wzniesiono okrzyki na cześć Polski i Francyi. Zakończyła defilada polskich ochotników przed dekorowanymi i gronem oficerskiem.



Polsko-francuskie braterstwo broni: Jenerał Truszkowski w zast. Dow. m. przypina odznaki honor. franc. oficerom i żołn.



Polsko-francuskie braterstwo broni: Defilada ochotników przed dekorowanymi w Łobzowie członkami armii fran.



Polsko-francuskie braterstwo broni. Grupa dekorowanych w Łobzowie oficerów i żołnierzy francuskich z jenerałem Truszkowskim (X) i majorem Durteste'(XX).

Awans komendanta krakowskiej Policyi państwowej.

Jednym z dziwolągów austryackiej biurokracyi było powierzenie służby bezpieczeństwa w Krakowie straży wojskowo policyjnej, zamiast oddać ją w odpowiednie ręce, to jest ludziom stale się jej poświęcającym. Jako organ wykonawczy Dyrekcyi policyi, powinna też była tylko jej bezpośrednio i zupełnie podlegać, tymczasem jedyną i nieograniczoną jej władzą przełożoną była wojskowość, nie mająca wprost pojęcia o wymaganiach tak ważnej gałęzi służby administracyjnej zwłaszcza w wielkiem mieście. Komenda oddziału znajdowała się nieraz w kłopocie, nie wiedząc, kogo słuchać, zarządzenia bowiem Dyrekcyi policyi i wojskowości stały ze sobą zbyt często w sprzeczności, a najgorzej na tem wychodziło bezpieczeństwo publiczne.

Służba w takich warunkach była też dla kierowników oddziału prawdziwym tańcem wśród mieczów. Trudno im było pogodzić poczucie obywatelskie z rozkazami swych przełożonych, gdy Wiedeń stale widział w nas, jeśli nie wprost zdrajców, to bodaj ludzi, którym ufać nie można.

A jednak i między nami znaleźli się ludzie, którzy pełniąc sumiennie swe obowiązki, nie zapomnieli, że są nie tylko c. k. oficerami austryackimi, ale i obywatelami kraju.

Do ich rzędu należy przedewszystkiem obecny komendant krakowskiej Policyi państwowej, major Karol Niewiadomski.

Służbę swą w c. i k. oddziale służby wojskowo-policyjnej w Krakowie rozpoczął w randze porucznika, tu awansował na kapitana. Z chwilą zmiany rządu przeszedł na etat polskiej policyi państwowej, której jest obecnie komendantem na Kraków.

Przez cały czas pobytu w naszem mieście pozyskał sobie major Niewiadomski swem taktownem postępowaniem i prawdziwie obywatelskiem pojmowaniem trudnych obowiązków służbowych zdobyć ogólne uznanie cywilnego społeczeństwa, któremu, zwłaszcza w okresie wojennym, szedł stale na rękę. Także i podwładni mają w nim wyrozumiałego i życzliwego przełożonego.

To też wiadomość, że komendant Niewiadomski dekretem Naczelnika Państwa posunięty został do rangi majora, przyjęto w Krakowie z ogólnem zadowoleniem, uznając ten awans za słuszną nagrodę za gorliwe i sumienne pełnienie obowiązków służbowych.



Awans komendanta krakowskiej Policyi państwowej
Major Karol Niewiadomski.

Sukces Szkoły śpiewu Marek-Onyszkiewiczowej.

Wspominaliśmy już z okazyi popisów kursów operowych Gabryelskiego w Krakowie i Szkoły śpiewu prof. Zaremby we Lwowie, jak nieuzasadnione są utyskiwania na brak kultury muzycznej w naszem społeczeństwie. Na tem polu robi się u nas stosunkowo może nawet więcej, niż gdzieindziej.

Dziś chcemy zwrócić uwagę na inne błędne mniemanie, które się u nas ogólnie przyjęło. Nawet bardzo zresztą inteligentne osoby są zdania, że, aby być cenionym śpiewakiem lub śpiewaczką, trzeba się koniecznie kształcić za granicą. Prawda, że to bardzo pięknie, gdy się czyta na afiszu koncertowym lub teatralnym: uczeń *maestra* Fajariniego lub Cimballiniego.... ale też i na tem koniec. Taki zagraniczny *maestro* daje tylko formę, nie jest bowiem w stanie poświęcić każdemu z swych uczniów, z powodu wielkiej ich liczby tyle czasu i starania, ile ich ofiarują szkoły krajowe, na których czele, jeżeli już o to się rozchodzi, stoją przecież osoby,



Sukces szkoły śpiewu Marek-Onyszkiewiczowej:
L. Wolska, primadonna teatru poznańskiego.

wykształcone także za granicą. Ustawić i wyszkolić głos może zatem pewniej i skuteczniej szkoła krajowa, niż zagraniczna światowa sława. A czy rzadko się zdarza, że jakiś tenor, uczeń osławionego zagranicznego mistrza, zamiast wziąć wysokie „C“... utnie koguta?... I zagranica mu nie pomogła!...

Krajowe szkoły, prowadzone fachowo przez wybitne siły na polu pedagogiki muzycznej, dają daleko więcej gwarancyi dobrych rezultatów, o ile naturalnie dany osobnik rozporządza odpowiednim materyałem głosowym, boć przecież i... w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu!

Do takich krajowych szkół, zapisanych bardzo dodatnio na kartach naszej kultury muzycznej, należy przedewszystkiem Szkoła śpiewu p. Marek-Onyszkiewiczowej w Krakowie. Wyszło z niej już wiele pierwszorzędnych sił, które się poświęciły zawodowo karyerze operowej i na różnych scenach polskich zbierają zasłużone oklaski, a zawdzięczają to mistrzowskiemu kierownictwu i staraniom prowadzącej szkołę, a będącej artystką nieposlednej miary.

Z pomiędzy uczenic p. Marek Onyszkiewiczowej dwie znów przyniosły prawdziwy zaszczyt swojej szkole, jedna z nich w Krakowie, druga w Poznaniu.

Są niemi panie: Ina Kotoli, której debiut w partyi Adeli w „Zemście nietoperza“ spotkał się z wielkiem uznaniem krytyki i sympatyą publiczności, została zaangażowaną przez dyrekcyę teatru „Nowości“, do pierwszorzędnych ról, wystąpi w najbliższej premierze jako Helena w „Czarze walca“ Oskara Straussa i Karolina Wolska, która po nader



Sukces szkoły śpiewu Marek-Onyszkiewiczowej: Ina Cotoli, zaangażowana do krakowskiego teatru „Nowości“.

udatnych występach w operze poznańskiej jako Jadwiga („Straszny dwór“), Suzuki („Madame Butterfly“), Paulina („Dama Pikowa“), nadal pozostaje na scenie poznańskiej i wystąpi w przyszłym sezonie w roli Amneris („Aida“) i w „Carmen“. Prasa poznańska jednogłośnie wyraża młodej artystce wielkie uznanie dla jej pięknego głosu, doskonałej szkoły i wielkiej inteligencyi muzycznej.

Z półek księgarskich.

Wacław Grabiański: **Rymy i proza.** Kraków 1921, Gebethner i Spółka. Gebethner i Wolff — Warszawa, Poznań, Łódź, Lublin. Drukarnia Nakładowa w Krakowie, ul. Kopernika 8.

Autor „Wojennego Balonika“ (Bajki i nie bajki) i „Piekła“ (Szkice z wojny) tak życzliwie przyjętych przez krytykę i czytającą publiczność, wydał świeżo zbiorek wcale udatnych poezyi i drobiazgów prozaicznych, opartych na spostrzeżeniach z życia codziennego. Tak ten zbiorek jak i poprzednie stanowi bardzo przyjemną lekturę, świadcząc bardzo chlubnie o zdolnościach literackich Autora, rokującego jak najpiękniejsze nadzieje.

Podnieść należy z uznaniem, że Grabiański nie sili się na napuszystość stylu, mającego pokryć brak treści, czem grzeszy większość współczesnych pisarzy, wyraża się w sposób prosty i jasny, co ułatwia czytelnikowi zrozumienie tendencyi autora. Strona typograficzna wydania przynosi zaszczyt drukarni, z której wyszła. Druk czysty i staranny, a nie makulatury, jakie puszczają w świat inne zakłady.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Kryształówka.

Ułożył X. Y., Rzeszów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwę miasta w Europie północno-wschodniej:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spógłoska, 2. Rzeka w Afryce, 3. Jeden z naczelnych monarchów, 4. Szukany wyraz, 5. Rodzaj zagadki, 6. Owad, 7. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył M. Kalman, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko polskiego męża stanu:

— ara
— dam
— uma
— zaw
— uda
— mir
— ola
— owa
— anz
— gor

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył X. Y., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce **kresek**, czytane z góry na dół, podadzą zdarzenie, które smutnem echem odbiło się w całej Polsce:

I-a
K-na
le-
K-ty
a-h
N-da
No-
o-ad
N-l
A-ba
In-
t-ma

Logogryf.

Ułożył J. Sanecki Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę polskiego uzdrowiska:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Galicyi, 3. Miejscowość na Węgrzech. 4. Postać biblijna, 5. Spółgłoska, 6 Znany polski ród szlabhecki, 7. Przywódca rosyjskich bolszewików, 8. Sprzęt domowy.

Bilety wizytowe.

Ułożył Lloyd George, Londyn.

Z liter na biletach ułożyć nazwiska współczesnych wybitnych osobistości ze świata politycznego i militarnego:

W. SOLIN.

C. HOF.

L. NENI.

T. TINI.

E. SZNEB.

Łamigłówka.

Ułożył Polityk z Krowodrzy.

Z każdego wyrazu wyjąć dwie obok siebie stojące głoski i ułożyć z nich nazwę miejscowości, o której się wiele mówiło i czytało w ciągu obecnej wojny:

Brody, Kozak, kość, koalicya, Stefan, wschód, raki.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Album Legionów polskich, 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 33.

Logogryf: L, Eli, Brody, syn, d, aga, Ren, brona, serce, legat, Zaleski.

Grzebieniówka: Luty, i, gaza, a, Numa, a, rota, o, doba, ó, woda.

Zagadka literacka: Mohort, Irydyon, Czarna perełka, Krzyżacy, Iliada, Emancypantki, Wiesław, Intryga i miłość, Czarny Matwiej, Zachwycenie.

Kryształówka: Warta, wazon, sanna, kreda, Malta.

Trójkąt magiczny: Brusiłow, Rymanów, unikat, sokół, imam, łut, Ob, w.

Kwadrat magiczny: Nida, Ikar, Daun, Arno.

Okienko: Poraj, Rumun, Janus.

Zadanie do przestawienia: Czas to pieniądz.

Zadanie do uzupełnienia: Pola, Elba, Lena, Omar, Piza, Oran, Nida, Ebro, Zola.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Zawadzki Krosno, S. Zajączkowski Rzeszów, M. Sawicka Lwów, L. Wierzbicki Rozwadów, T. Niemiec Bochnia, L. Berger Lwów J. Opolski Stanisławów, Z. Lisowski Warszawa, M. Wikliński Kraków, E. Müller Warszawa, H. Frasiński Bochnia, H. Gruszczyński Tarnów, J. Remer Sambor, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, B. Wiśniewski Łańcut, C Kómarnicki Warszawa, J. Majer Rzeszów, Z. Walkowski Rawa, S. Wysocki Biała, J. Kalinowski Poznań, H. Mazurkiewicz Warszawa, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, M. Stachowicz Kraków, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, K. Dębiński Jasło, M Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, K. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, L. Bogucka Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, H. Unger Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, M. Nowak Warszawa, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, J Nowak Drohobycz, M. Hanasiewicz Stanisławów, K. Grabski Jasło, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T Nowicki Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, M. Ostrowska Lwów, S. Rosenbaum Rzeszów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, W. Darowski Radom, H. Łapicki Kielce, M. Stachowicz Kraków, P. Strzelec Władysławów, Piotr Balowski Tarnów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) C. Komarnicki Warszawa (książka), 2) M. Nowak Warszawa (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.